

Bogusław Kamola

część V z VII

Sygnatura notacji: N0927

Data urodzenia: 25.08.1930 r.

Data nagrania: 20.03 i 15.04.2015 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Rafał Pękała, Piotr Wiejak

Czas nagrania: Część I: 97 min, część II: 21 min, część III: 58 min, część IV: 53 min,

Format nagrania: video część V: 42 min, część VI: 36 min, część VII: 38 min

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Rafał Pękała: Jakież inne formy życia, takiego, nazwijmy to, normalnego, w których pan uczestniczył, będąc na zgrupowaniu.

Bogusław Kamola: To znaczy...

Rafał Pękała: Co się zdarzało takiego jak, nie wiem, msze święte, jakieś formy życia towarzyskiego?

Bogusław Kamola: Tak. Pamiętam... Z takich rzeczy, które zapamiętałem, to było to, że nas raz zaprowadzili do fryzjera, cały tam pluton stał i ten fryzjer nas tam strzygł. Później zaprowadzono nas do kąpiel. Taka była łaźnia publiczna w kotłowni na ulicy Suzina. Pamiętam, to była taka fajna rzecz, kąpiel. Myśmę się chyba nie kąpali przez cały czas, bo później wody nie było. Nie wiem, jak to... Jak wyglądali, to nie wiem. To było to no i oczywiście fakt, że dostałem przepustkę na moje urodziny, żeby dotrzeć do mojego domu. To była wyprawa dosyć niebezpieczna, ale miałem pełną zgodę dowództwa. Też jakimiś tam okrężnymi drogami, gdzieś tam w tych krzakach nad Wisłą, przez tę ziemię niczyją. Proszę sobie wyobrazić, dotarłem do domu, tego, który był pięćdziesiąt metrów czy tam trzydzieści metrów od tej szkoły, w której byli Niemcy. Rodzina jeszcze była, 25 sierpnia jeszcze moja mama z bratem była w mieszkaniu, w tym domu. Jeszcze dom nie został spalony, wszystko jak gdyby normalnie. Mama mnie przyjęła oczywiście ze łzami, ale szczęśliwa, że jestem, że żyję, coś tam zjadłem. No i myślała, że już zostanę. Powiedziałem, że nie, że nie mogę zostać. Pożegnałem się z nimi i później zobaczyłem mamę, i brata zresztą, już po chyba trzech latach, tak. Bo już nasze losy się jak gdyby rozdzieliły. Wróciłem do plutonu...

Rafał Pękała: Jeszcze może o mamie, bo pan opuścił w takich dosyć tajemniczych jak dla niej okolicznościach. Czy dał pan wcześniej znać, co się z panem dzieje,

Bogusław Kamola: Nie.

Rafał Pękała: czy ona dopiero po raz pierwszy po

Bogusław Kamola: Znaczą wiedziała, tak, wiedziała.

Rafał Pękała: piętnastu czy tam dwudziestu dniach...

Bogusław Kamola: Zbyszek, znaczą brat, jej powiedział, że ja dołączyłem do plutonu, że jestem w plutonie, no więc mama się musiała z tym pogodzić, chcąc nie chcąc. Jak przyszedłem do domu na urodziny, no chyba z wielkim bólem serca, ale nie oponowała, pożegnaliśmy się, ja poszedłem. Tak że oni zostali sami. Za tydzień chyba po mojej wizycie dom ten... Był atak. Dowództwo jakiegoś zgrupowania przeprowadziło atak na tę szkołę niemiecką. Zresztą zdobyli tę szkołę, bo ją zapalili. Ta szkoła została zdobyta tam szturmem. W związku z tym spłonął i nasz dom przed tym atakiem. Spłonął nasz dom, rodzina jakoś tam ocalała, uciekła gdzieś tam dalej, na Marymont. Czy Niemcy już... Nie pamiętam tych losów dokładnie, w każdym razie znaleźli się w rękach Niemców, Niemcy wycofali ich chyba na Wolę, do tego słynnego kościoła, i przeszli cały szlak, że tak powiem, nie wywiezieni z Polski. Szkoła została zdobyta, dom spłonął doszczętnie, tak że zostaliśmy ponownie... Ponownie, bo mówiłem, że we wrześniu do Warszawy wróciliśmy też boski i nadzy po czterech latach. Zdarzyło się to ponownie. Ja oczywiście do końca powstania byłem na Żoliborzu i później... Ale dokończę może ten wątek, jeśli można, o tym granatniku.

Rafał Pękała: Już, za chwileczkę, a propos granatnika ...

Bogusław Kamola: Tak. Dobrze.

Rafał Pękała: Wspominał pan o aprowizacji. Taką formą pomocy powstańcom były zrzuć alianckie czy sowieckie. Czy w tym czasie udało wam się jakiś przejąć zrzuć?

Bogusław Kamola: Tak.

Rafał Pękała: Jak to wyglądało?

Bogusław Kamola: Tak. To wyglądało zabawnie. Dlatego że Rosjanie rzeczywiście, nawet dosyć w ostatnich dniach, co noc nadlatywali kukuruźnikami na bardzo małej wysokości, nad dachami niemalże. Jak ci piloci rzeczywiście w nocy latali, to już... Oświetlały ich tony prawdopodobnie. Wyczuleni frontowi piloci. I zrzucali z tych kukuruźników worki z amunicją, z bronią, z sucharami, tam z zaopatrzeniem, żywnością. I myśmy istotnie poczuli bardzo mocno

tę pomoc. W plutonie znalazły się z przydziału dowództwa, no bo to wszystkie te zrzućy były grupowane gdzieś tam w rusznikarni na Suzina, a później rozdzielano na poszczególne jednostki. W naszym plutonie znalazły się chyba trzy rusznice przeciwpancerne, to była piekielna broń, strzelała takim ogniem. Po dwóch strzałach trzeba było uciekać ze stanowiska, bo była wykrywalna od razu. Granatniki, zresztą te granatniki były zrzucone dużo wcześniej, jak powiedziałem, już przy końcu sierpnia. Bo był jeden granatnik w plutonie, później mieliśmy trzy. Ze sporą ilością amunicji. Jedliśmy i dawali nam suchary. Suchary rosyjskie, suchy chleb, taki czerstwy. Bardzo zresztą smaczny, bo mi to wtedy smakowało bardzo. I jakieś konserwy były też przydzielane na plutony. I oni latali właściwie co noc. Codziennie myśmy się spodziewali tam „pal, pal, pal, pal”, jak łupnął worek, bo oni tak rzucali bez planu właściwie, nadleciał i rzucił te worki. Alianci, to się oznaczało, prawda, jak wtedy te zrzućy były wielkie w powstaniu, to były dzielnice i tam mieli na mapach oznaczone. A ci walili, gdzie popadło. I dobrze, dużo tego było. Ta amunicja pogięta, oczywiście była przebierana, ale była, tam ten proch wysypywali. Tak że tu pomoc była dosyć wyraźna pod koniec powstania. No i ostrzał artyleryjski był też, rosyjski, o którym powiem, bo też się mało tragicznie nie skończyło.

Rafał Pękała: A jeśli chodzi o pomoc ludności cywilnej,

Bogusław Kamola: Ludność cywilną...

Rafał Pękała: wtedy można było liczyć na pomoc, ludność Warszawy, czy raczej nie, czy raczej te warunki, w których bytowała, były no równie trudne jak wasze?

Bogusław Kamola: Ja muszę powiedzieć, że na początku powstania to był ten... wyraźny, bo myśmy stali pod tą dwudziestką, tam ludzie ci mieszkali przecież. No to z chęcią, z entuzjazmem. Tam budowali tę naszą słynną barykadę. Ale później właściwie to tej pomocy było niewiele i niechętnie ta ludność nam świadczyła. Ja pamiętam, że kiedyś tam myśmy potrzebowali jakoś tam naprawić barykadę i chodziliśmy po tych piwnicach, żeby tam zwerbować kogoś, to właściwie nie było odzewu, bo może i tych młodych ludzi nie było ani... Były kobiety, jakieś tam dzieci, starzy. Jak gdyby to źródło... Nie wiem, ten entuzjazm i ta ilość ludności, która byłaby zdolna pomagać, to jakoś wyschło to, to się odczuwało.

Rafał Pękała: Czy wy jako szczury kanałowe mieliście jakieś pewne przywileje, których nie mieli inni powstańcy?

Bogusław Kamola: Tak. Mieliśmy przede wszystkim w miarę sporo wody, bo procedura była taka, że jak wychodziliśmy z kanałów, to była taka specjalna baza, na ulicy Krasickiego 29, jeszcze pamiętam do dzisiaj to okno na parterze, gdzie była woda, miski, jakieś takie pojemniki, gdzie, jak przechodziliśmy, to te brudne rzeczy żeśmy z siebie zdejmowali, myliśmy się, tej wody, tam trochę mydła było, miednica, tam woda do miednicy i tam każdy miał przydział tej wody, nie wiem, dzbanek, i myśmy się tam kąpali do stóp w tym dzbanku wody. Później to była ogromna wprawa, żeby się w tak małej ilości wykąpać, no ale myśmy to już potrafili robić. Wykąpać się... duże słowo. No w każdym razie tam twarz można było i te nogi tam ochlapać. Mieliśmy to zaopatrzenie na ostatnią godzinę, to znaczy takie sucharki, takie paczki sucharków, i cukier. Ale nie do jedzenia to było w kanale. A poza tym żadnych przywilejów. Co gorsza, nie zwalniano nas ze służby nawet. Ja miałem taki przypadek, fatalny zresztą. To też taka słyn... nie słynna, no ale

taka znacząca historia w moim życiu plutonu. A to muszę opowiedzieć o tym, bo to odpowie na pana pytanie, czy mieliśmy ulgi. Nie mieliśmy. Po jakiejś takiej wyprawie kanałowej wychodzę, to był sierpień, no więc jeszcze o ósmej godzinie było widno. Ja byłem zmachany totalnie, po tym przebraniu już na tej bazie oczyszczającej, tym czyścicu. Idę do plutonu, tam żeby coś zjeść, tam jakiś chleb był, tam trzymali dla mnie koledzy. Ale wpada dowódca drużyny i mówi: „Kochany, dobrze, że jesteś. O godzinie dwunastej masz wartę, w nocy masz wartę”. Nie, czy o drugiej w nocy, już nie pamiętam. Jakaś taka psia warta. Na barykadzie. No więc ja mówię: „Antek, no przecież ja przed chwilą wróciłem z kanałów. Jestem... już nie mówię, że głodny, ale wiesz, totalnie wyczerpany, i fizycznie...”. Nie, masz tam, ten... Rozkaz, rozkaz. Dobrze. No i tam się trochę przespaliśmy na jednej nodze, trochę zjadłem i taki totalnie rozwalony idę na tę wartę, na barykadę, na główną barykadę. Na barykadzie jest karabin maszynowy, a ci tam leżą, koledzy z innej drużyny, też na warcie, i kolega też z drugiej drużyny obok, przy wyjściach do bramy. I ja stoję z tym kolegą, z tym swoim pistoletem, słynną „FN-ką”. Do dziś pamiętam. Titus miał na imię. Zawadowski, z tej słynnej pułkownika Zawadowskiego, jego brat był w „Zośce” zresztą, zginął, czy dwóch braci. Tam wszyscy synowie zginęli w czasie okupacji. Poza Titusem, który przeżył razem ze mną powstanie warszawskie. I mówię do Titusa: „Słuchaj, ja nie wytrzymam na tej warcie, no zasnę na stojąco”. Titus się zlitował nade mną, mówi: „Słuchaj, to idź, się prześpij, mamy dwie godziny czasu, chłopakom przy CKM-ie nie powiem nic, a ty idź na klatkę tutaj obok, schodową, prześpij się, czy ja cię obudzę, gdyby coś, to ja tam, wiesz, wyskoczę, cię obudzę, gdyby jakaś inspekcja była czy coś”. No więc mu serdecznie podziękowałem i w takim amoku totalnym, nie wiedziałem, co robić, gdzie ja idę, i zamiast na klatkę tę umówioną, gdzie miałem być, poszedłem na zupełnie inną, gdzieś przeciwną czy dalej już poszedłem. Padłem na jakąś słomiankę przed drzwiami i usnąłem. Przyszła zmiana warty, mnie nie ma. No więc ten Titus biedny tam tłumaczy, że na chwilę, że na siusiu, że to, że dostał rozwolnienia, no ale to na wojnie nie ma. Zejście z posterunku, a szczególnie z barykady, w czasie wojny jest to najwyższa kara, sąd wojskowy. Nie ma tłumaczenia, że się schodzi z warty. No więc poszukiwania, znaleźli mnie śpiącego na tej klatce schodowej. Awantura oczywiście straszliwa no i mój dowódca mówi: „Kochany, no niestety, nie zabili cię Niemcy, to ty zginiesz od naszych kul, sąd polowy”. No więc skończyło się na tym, że dostałem karę harcerską. To polegało na tym, że na apelu porannym tego samego dnia, czyli tam po apelu, nie wiem, o siódmej czy o ósmej rano, przed naszym całym plutonem zostałem przed frontem wyciągnięty no i oświadczył dowódca, że tutaj za karę zejścia z posterunku spotyka mnie kara w postaci takiej, że mam z dwoma kubeczkami wody przelecieć przez całe podwórze tam dwa razy czy trzy razy. No taka spotkała mnie harcerska kara za to.

Rafał Pękała: Rzeczywiście harcerska, dosyć jednak łagodna jak na te warunki frontowe. Ale też, no cóż, no fizjologia zwyciężyła, musiał pan jednak... organizm upominał się o swoje.

Bogusław Kamola: Tak.

Rafał Pękała: To teraz może przejdziemy rzeczywiście... Bo w pewnym momencie, tak jak pan wspominał, przestał pan schodzić do kanałów.

Bogusław Kamola: Tak.

Rafał Pękała: Ale jak to się stało, że został pan dowódcą granatnika? To musiało być jeszcze chyba gdzieś na początku powstania?

Bogusław Kamola: Tak. Bo przydzielono nam granatnik, czy tam dwa granatniki, i postanowiono, że ci kanałarze, te szczury kanałowe, no nie są dwadzieścia cztery godziny w kanałach. Wychodzą, odpoczywają, czekają na następne wejście, no więc mają czas, jakiś tam czas wykrojony. I wtedy zapadła decyzja, że te drużyny kanałarskie obsadzą granatniki. To był wielki zaszczyt, żeby móc mieć granatnika. To była nieznana broń w ogóle, takie było wielkie halo, żeby być celowniczym jeszcze granatnika. Ponieważ dowódca drużyny, podchorąży Antek, Antuś, bo było kilka Antków, a on był Antuś, miałem u niego specjalne chody, bo on jeszcze z czasów okupacji był moim drużynowym, znał mnie doskonale i moich rodziców, miał jakieś takie duże względy dla mnie, bardzo mnie lubił. I w drodze takiego jakby zaufania, przyjaźni, wyróżnienia wyznaczył mnie jako celowniczego, ku oczywiście proteście innych kolegów, bo to każdy chciał być takim celowniczym granatnika. No ale ten zaszczyt mnie spotkał, w związku z tym z dumą taką funkcję objąłem. Zresztą później odbywały się szkolenia, no bo my musieliśmy wiedzieć, jak to wszystko działa, zdobyliśmy taki patent jak gdyby celowniczego i amunicyjnego, i odbyło się takie pierwsze strzelanie, dla zaprawy, jak to wygląda. Gdzieś jakimś takim pociskiem jednym czy dwoma tak w stronę Niemców, ale później postanowiono, i to był chyba zły pomysł, żeby użyć tych granatników naszych, trzech czy tam dwóch, już nie pamiętam, na początku, do ostrzelania baterii niemieckiej, która była na Burakowie. Buraków to jest taka część dzielnicy Żoliborza, tak się nazywa, ale nie wiem, dlaczego Burków, tam były takie działki, jeszcze ruskie forty, noga Cytadeli... czy Fortu Bema, przepraszam, Fortu Bema, i tam, w tym miejscu, była artyleria niemiecka. Kilka dział artylerii niemieckiej. Myśmy doskonale ich znali, tych Niemców, dlatego że przez lornetki ich obserwowaliśmy. Ja to teraz mierzyłem na liczniku rowerowym, jaka to była odległość od tej bazy do naszego dołku, bo to jest mierzalne. Było akurat 800 metrów. Na donośność granatnika naszego. On maksymalny zasięg miał 800 metrów. Dowództwo nasze zdecydowało w związku z tym, bo tak sobie wyliczyli, nie wiem, no zmierzili tę... tam też byli przecież przedwojenni artylerzyści, że osiągniemy ich. I postanowiono wykonać atak na te pozycje niemieckie. Ustawiliśmy granatniki, jeszcze nie w dołach, nawet nie na podwórzu domu, tylko koło barykady, na takiej płaskiej powierzchni, trochę żeśmy się przybliżyli do tych fortów i odpaliliśmy jakąś salwę, pamiętam, po trzy sztuki czy po... I Niemcy nagle się zorientowali, że tu padają pociski, alarm się tam zrobił straszliwy. Nie wiem, czyśmy tam zabili tych Niemców kilku czy nie, w każdym razie stał się tam popłoch. No więc prawdopodobnie... nie prawdopodobnie, no Niemcy to odczytali bardzo prosto, że to pocisków... znaleźli może szczątki tych pocisków tego granatnika. No sobie dokładnie wyliczyli specjaliści, że to muszą być strzały oddane z naszego bloku. Ten blok był w frontowym budynku, przed Niemcami, poza tymi ogródkami, drzewami jakimiś, myśmy te działa widzieli. Zresztą każdorazowo, bez przerwy, stał wartownik na trzecim piętrze budynku i przez lornetkę obserwował ruchy Niemców wokół tych dział. I myśmy widzieli, kiedy tam kuchnia polowa przyjeżdża, kiedy się zmieniają, myją, kąpią, myśmy tam widzieli. I oni od czasu do czasu dla zabawy strzelali w nasz blok. Tak odpalali jakieś tam pociski, buch, wybuch pocisk na dzień dobry, są Niemcy nasi. Dowództwo ponownie postanowiło, że jak przyjedzie ta... dla większego rażenia, jak podjedzie ta kuchnia polowa do tej załogi, to my przypuścimy atak, bo wtedy Niemcy się zgrupują tam, w kolejce będą stali po te miski i my tam ich zaatakujemy. I rzeczywiście to zrobiliśmy, z sukcesem. Tę kuchnię żeśmy rozwalili, tam nie wiem, ilu tam ich padło, w każdym razie dostali łupnia. Od tych naszych granatników. No to już było dla nich za wiele. I w związku z tym regularnie, codziennie prawie, strzelali z moździerzy w podwórko naszego budynku. I zrobili nam no niezwykle...

wyrządzali niezwykle szkody. Tak zginął nasz dowódca kompanii, który szedł przez podwórze. Później nam chodzić już nie było wolno. Nie można było wyjść na podwórze. To było duże, panowie zobaczą duży przedwojenny blok, i tam przejście przez podwórze było bardzo niebezpieczne, tam nikt już nie chodził, jak oni zaczęli strzelać. A strzelali się. Na moich oczach, myśmy mieli kwaterę właśnie z oknem na ten... szedł dowódca kompanii, wybuchł szrapnel i go położył, totalnie go tam posiekało.

Rafał Pękała: Dowódca kompanii, czyli to był... kto był?

Bogusław Kamola: To był kapitan „Stary”, jego pseudonim. Zginął na miejscu. Tak że myśmy się jak gdyby ujawnili, że mamy te granatniki, i w czasie ataku, jak Niemcy przystąpili do szturm na nasze pozycje, to nas zawalili właśnie pociskami z moździerzy, czy tam szrapneli, jakie tam na to podwórko spadło, to tam była sieczka totalna. Myśmy w związku z tym mieli nasze pozycje w dołach, wykopaliśmy doły na podwórzu, które pomieściły zarówno granatnik, jak i celowniczego, amunicyjnego i tam kilka skrzynek amunicji. W tych dołach myśmy nie siedzieli przez cały czas. One były usytuowane bliżej klatek schodowych i jak był rozkaz strzelania z granatników, myśmy wyskakiwali z tych klatek schodowych jednym skokiem. Żeśmy tam wpadali w ten dół i byliśmy bezpieczni, no chyba że pocisk trafił prosto w dół, co o mało się nie zdarzyło, że taki jeden pocisk, jak byliśmy już właściwie w powietrzu, tam w tym dole, wybuchł na skraju tego... To sekundy się liczyły. Bo by nas w powietrzu rozerwał, w powietrzu. Ale wybuchło kilka sekund za późno i myśmy byli już w dole. Żaden pocisk czy szrapnel nie trafił w nasz dół. Prowadziliśmy taki ogień zaporowy. Ta artyleria szła, to myśmy tam już nie wychodzili z tego dołu. Amunicji mieliśmy pod dostatkiem no i strzelaliśmy, oczywiście obserwator był na górze i podawał nam, z jaką odległością należy strzelać poza budynek, lotem takim parabolicznym. Im bliżej się strzelało za dom czy przed dom, od strony nieprzyjaciela, tym większa ilość gazów wypychających pocisk z lufy wylatywała na podstawie nieużytecznie, to znaczy nie brała udziału w odstrzeleniu [pewnego , 00:27:32] pocisku. Tak się regulowało odległość. Na pełnej odległości wszystko szło w lufę, na małej odległości jakaś część tylko do wybicia pocisku, reszta szła w podstawę. W tym strzelaniu mieliśmy dwa dramatyczne momenty. Pierwszy to jest taki, że wtedy nasz granatnik, i tam częściowo u kolegów też, na skutek oddawania dużych ilości strzałów ta podstawa granatnika wbijała się w podstawę ściany. To była z piasku, piasek to był. I zasypywała wylot gazów z lufy granatnika, z podstawy granatnika. Jak strzelaliśmy coraz bliżej, to więcej tego wybuchu szło w tę ścianę, powodując coraz większe zasypywanie. Myśmy nie patrzyli się w tę podstawę, no bo oddawało się pocisk, głowę się schylało, żeby własny podmuch nie uderzał, no i oczywiście... No ale to skończyło się kiedyś dla nas fatalnie, bo przy jakimś tam strzale ten wybuch nam walnął w twarz tym piachem. A nas niemalże nie wgniotło w tę ścianę, ale jakoś żeśmy wydobyli ten granatnik spod tej ziemi, postawiliśmy go. I proszę sobie wyobrazić, ten granatnik nie działał już właściwie. I to następna sprawa. Był rozkaz strzelania już naprawdę bardzo blisko przed budynek, na takiej minimalnej odległości. I pamiętam, że przy oddaniu pierwszego strzału na tak minimalną odległość... bo już strzelanina przechodziła... pod dom podchodziła. Tam już nasze oddziały się wycofywały właściwie. To była odległość, no nie wiem, pięćdziesiąt metrów od nas. Ale przez budynek pocisk musiał lecieć. Ja wrzuciłem pocisk do lufy... Bo to widać, jak pocisk wyskakuje z tego... Jak daleko, to szybciej oczywiście, jak blisko, to on się wlecze z tej lufy. I ja widzę, ten pocisk wyskoczył, leci i tak leci, leci, leci sobie... Nie przeleci. I rzeczywiście, walnął w dach. Rozerwał się. Koniec. No więc poprawiam odległość na dalej, wsadzam pocisk, leci, leci, w to samo miejsce prawie. No nie, nie da rady. Ja jestem już cały w panice, no prawie już nie mam możliwości zwiększenia odległości. Trzeci pocisk, jak walnąłem,

to w ścianę przed nami. Przerwaliśmy ogień, no bo nie działał granatnik. Skończyło to się w dobrym czasie, bo już Niemcy właściwie wchodzili do naszego bloku, myśmy się wycofali z tym granatnikiem. Jeszcze zdążyliśmy dojść do rusznikarni, która była na Suzina, i ten granatnik, proszę sobie wyobrazić... Nie wiem, czy nam dali nowy czy ten granatnik został zregenerowany, tam poruszyli ci fachowcy, bo się zacięło to pokrętko odległościowe, tam go może przedmuchi jakoś i działał dalej. Granatnik ten zostawiłem w Szklanym Domu już w dniu kapitulacji. Nie miałem już amunicji, nie mieliśmy amunicji, amunicja nie dotarła razem ze mną, bo skrzynki z amunicją ważyły sporo, ciężko je było przenieść dołami łącznikowymi przez piwnice. Zostałem bez amunicji. I ostatnia przygoda z tym moim granatnikiem była taka, że musieliśmy skakać na ulicy Krechowickiej z bardzo dużego parteru. Tam były... Do dzisiaj, jak przechodzę, to jest ogromnie wysoki. Taki parter z balkonem. Wysoki, jak pierwsze piętro prawie. Ponieważ z tego budynku żeśmy się wycofywali do Znicza, do takiego rowu łącznikowego. Już pełno wojska było w tym rowie, myśmy w dosyć takiej lekkiej panice już uciekali czy wycofywali się z tego budynku. I musieliśmy skoczyć z tego wysokiego parteru do łącznikowego. I ja nie wiedziałem, co zrobić, bo ja mam ten granatnik na plecach, on ważył około dziesięciu kilo z podstawą. Bałem go się rzucić, żeby się znowu nie popsuł, to broń podstawowa, honor utrzymania. Nie miałem pomysłu ani, jak ją spuścić na jakimś tam czymś, prześcieradle, lince, bo nie miałem, to postanowiłem skoczyć z tym granatnikiem z tego wysokiego parteru. Więc jak skoczyłem, to mało ten granatnik nie zabił mnie, bo ta lufa walnęła mnie w głowę, z tyłu, w potylicę, ten granatnik tam przybił do tej ziemi. To jak się tam już obudziłem, to właściwie rów łącznikowy był pusty, bo już tam wszyscy przeszli. Ale dogoniłem swoich, do Znicza doniosłem go jeszcze, jak dziecko, jak matka dziecko, ten granatnik, do samego domu i z nim się pożegnałem już w tamtym domu. W zamian dostałem jakieś tam KB takie, ale to już było zawieszenie broni. Nie strzelaliśmy. - I tak się skończyła epopeja.

Rafał Pękała: - A ten granatnik skąd pochodził?

Bogusław Kamola: - Proszę?

Rafał Pękała: - Skąd pochodził ten granatnik? - Czy on był z...

Bogusław Kamola: - Ze zrzutów radzieckich.

Rafał Pękała: Czyli to była broń radziecka, tak?

Bogusław Kamola: Tak, tak, radziecka, absolutnie. Taki egzemplarz tego granatnika, bo marzyłem przez cały czas, żeby go zobaczyć. Tam w internecie jakoś jest ten granatnik, dwa są te granatniki, w Muzeum Wojska Polskiego. Nawet mi zezwolono mieć ten granatnik na takiej ekspozycji w szkole jakiejś. Fajnie wyglądał, bo w sumie on... Z przyjemnością zresztą zobaczyłem ten granatnik. Wziąłem go do ręki, żeby zobaczyć, jaki on ciężki był. No więc na tamte czasy dla mnie był chyba ciężki. No teraz, jak go złapałem, no to tak gdzieś koło dziesięciu kilo, to nie jest znowu taki ciężar. Ale jak miałem szesnaście lat, piętnaście, no to był trochę taki ważący przedmiot, oczywiście.

Rafał Pękała: Skutków swojego ostrzału, pana ostrzału, pan nie widział?

Bogusław Kamola: Nie widziałem. Natomiast koledzy i w książkach, w reportażach opisują, że te trzy granatniki na naszej pozycji wyrzuciły ogromne straty wśród artylerii niemieckiej. Ponoć dowódca niemiecki, który kierował tym atakiem na dwudziestkę, takie były wersje, ja nie wiem, poszukiwał obsługi granatników spod dwudziestki, jak myśmy się poddali. Ale poszukiwał chyba dlatego, żeby nas ubić albo coś, no bo nie dla odznaczenia Krzyżem Żelaznym, prawda. Ale jakoś nie znalazł nas. Nie było czasu, nie miał możliwości. W każdym razie ponoć takie były poszukiwania. Tak.

Rafał Pękała: Czy podczas powstania był pan ranny? Z tej historii nie, raczej nie...

Bogusław Kamola: To znaczy byłem poszkodowany, w tym sensie, że miałem rozwaloną głowę jakimś tam tak. Jak walnęła we mnie ta ziemia z tymi kamieniami, to miałem całą poharataną twarz, ale to nie była rana z pocisku, tylko takie samo okaleczenie od wybuchu. Ale ranny jako taki nie byłem, na szczęście.

Rafał Pękała: No właśnie, na szczęście. Czy ma pan wrażenie, że czuwała nad panem Opatrzność, że udawało się panu chyba blisko... ująć cało z różnych...

Bogusław Kamola: To nie tylko wydawało mi się, ale ja do tej pory wierzę w to, że tak właśnie było, że ta Opatrzność czuwała i czuwa do chwili obecnej. Ale jak to, dlaczego tak mówię? Mam na to dowody. Jakież? To kilka. Już pomijam, że w tych kanałach jakoś tam mi się udało nie być trafionym, nie zabłądzić, nie otruć się, wszystko jedno. Natomiast na barykadzie, na tej naszej reducie, była barykada w bramie, te wszystkie bramy miały barykady, ale jedna wychodziła na Krasieńskiego, strzałem na plac Henkla. I to była taka barykada w bramie. Nie taka przez ulicę, potężna, w bramie taka. Pomocnicza jak gdyby. I proszę sobie wyobrazić, że na warcie stałem z kolegą, na tej barykadzie, siedzieliśmy właściwie, bo to widać było, brzask zaczynał się, lato, piąta czy szósta godzina. Dokładnie żeśmy... My rozróżnialiśmy, jak leciał pocisk, czy to była „szafa” czy, nie wiem, pocisk artyleryjski. To my to znaliśmy już, takie charakterystyki pocisków. Proszę sobie wyobrazić, że nagle słyszymy, że leci pocisk. To słychać. Ta fala przed nim jest pchana. Gdzieś tutaj, blisko. I ten pocisk walnął obok figurki Matki Boskiej, która do dzisiaj jest na tym podwórku. Ta figurka od tej barykady była dwadzieścia metrów. Może piętnaście. Gdyby ten pocisk wybuchł przy tej figurze Matki Boskiej, to by nas już nie było. Bo to było kilka kroków od tego pocisku. I pocisk zaszumił, padł, czekaliśmy, nie wybuchł. No cud w ogóle. Drugi raz to samo się zdarzyło, właśnie te pociski jakoś nie wybuchały przy... Zdarzyło się, że w czasie już kapitulacji, kiedy była wiadomość, że idziemy do niewoli, cały Szklany Dom się pali, wojsko, nasz pluton jest usytuowany w ogródku przy Szklanym Domu. I strzela radziecka artyleria. Tak jak mówiłem, strzelali oni też. No niby tak w pozycje niemieckie, ale oni tam strzelali tak, a my... Nie bardzo wiedzieli, gdzie są pozycje niemieckie, a gdzie są angielskie. Nie było już chyba radiotelegrafistów radzieckich, którzy by kierowali ogniem. I walnęli pociskiem w nasze szeregi. To znaczy wpadł pocisk, taka „krowa” padła między nas. Nawet nie uderzyła nikogo. Tylko się zakołowało, zadymiło. I gdyby to wybuchło, no to byśmy też wylądowali w niebie. I to przeżyłem, to byłem świadkiem, dlatego żyję. Dlatego wierzę, że tak właśnie było. Nie mówiąc już o innych tam takich przypadkach, gdzie powinienem tam polec, a nie poległem, prawda, czy ktoś mną kierował, żeby zrobić to, a nie tamto. Ale to takie te dwie rzeczy. To do dziś w to wierzę, że coś nad człowiekiem czuwa.